OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 5 Kwietnia 1865 roku.

Nr 14. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

ŻYD WIECZNY TUŁACZ.

Niewiadomo, zkąd urosła legenda o żydzie wiecznym tułaczu, ale, wedle podobnych do prawdy domniemywań, uczonego francuzkiego badacza Jakóba, musiała ona wyniknąć z tych przepowiedni, jakie porobiono na rok 1000, a które napełniły wówczas trwogą całe Chrześcijaństwo. Jeden ustęp z Ewangielji źle wytłómaczony, a potem plagi wielkiego rodzaju, jakie wówczas grasowały, zdały się zapowiadać blizki koniec świata i nastąpienie sądu ostatecznego. Pomiędzy innemi baśniami, rozpuszczono wtedy wieść o pojawieniu się jakiegoś żyda, który miał być spółczesnym Chrystusowi, który Go widział ukrzyżowanego, i który miał żyć dla tego tak długo, aby jako świadek naoczny, w dzień sądu ostatecznego zeznał, co wiedział o śmierci Jezusa. Naturalnie, że przy łatwowierności ówczesnego świata, a przytem jego skłonności do zabobonów i wiary w różne cudowności, zjawiać się musieli tacy, co powiadając, że są właśnie owym żydem, wyłudzali tym sposobem wielkie dla siebie ofiary. W żebrakach, którzy licznie snuli się wszędzie, siejąc straszne przepowiednie i zbierając hojne jałmużny w imię przestrachu powszechnego, sądzono nieraz poznawać żyda wiecznego tułacza, który chodził po całym świecie, dla zwiastowania ludziom żyjącym, że ich ostatnia godzina się zbliża.



Żyd wieczny tułacz. — (Rysował Polkowski — wyciął na drzewie Gorazdowski).

Europa poczęła się uspakajać jednak ze swego przestrachu, kiedy rok 1000 przeminął bez końca świata, i kiedy nic się w nim szczególnego nie stało; dla tego też zaprzestano spotykać żyda wiecznego tułacza. Wiele jednak ludzi, zostało jeszcze obałamuconych temi szczególnemi opowiadaniami, jakie poprzednio na jego karb puszczano; dla tego też dopytywano się o wiadomość o nim, tak pielgrzymów jak i krzyżowców, powracających z Palestyny. — W roku 1228 pewien Arcybiskup armeński, przybywszy do Anglji, do opactwa Saint-Alban i zapytany o tego sławnego żyda, świadka współczesnego męki naszego Zbawiciela, powiedział, że go znał wybornie, i że często z nim nawet obiad jadał. Wedle tego czcigodnego kapłana, którego nie można posądzać o kłamstwo, gdyż on był przez kogoś tylko zręcznie wyzyskiwanym, żyd ten, o którym mowa, nazywał się niegdyś Cartophilus i był odźwiernym u Ponciusza Piłata. Jezus prowadzonym będąc dla ukrzyżowania, zatrzymał się chwilę przed jego progiem, chcąc spocząć. Cartophilus potrącił Go kułakiem, mówiąc: „Idź sobie, czemu tu się zatrzymujesz.” Jezus wtedy zwrócił smutne swe oblicze ku niemu i powiedział: „Odchodzę, ale ty będziesz mię czekał, aż powrócę.”— Cartophilus miał wówczas trzydzieści lat. Od téj pory, za każdym razem, jak dojdzie lat stu, doznaje szczególnego snu, z którego budzi się odmłodzonym, i w tym wieku, jaki miał w chwili Chrystusowéj męki. Po śmierci Jezusa, ochrzcił on się i pod imieniem Józefa przebywał w różnych krajach na wschodzie. Jest to człowiek wielkiéj pobożności, małomówny, i tylko opowiada chętnie, kiedy go proszą, śmierć Chrystusa i wypadki różne, towarzyszące temu zdarzeniu. Nie śmieje się nigdy, płacze często, tęsknie oczekując chwili, w któréj Chrystus przyjdzie z całą chwałą swoją, aby sądzić żywych i umarłych, i tylko obawia się tego, aby On nie był jeszcze zagniewanym na niego.

Opowiadanie to, które tu skróciliśmy, jest udzielone przez Arcybiskupa, zakonnikom z Saint-Alban. A jest ono także i tem samem, które Mateusz Paris, mnich z tego opactwa, zamieścił w swojéj historji 1252 roku wydanéj. Są to pierwsze dokładniejsze szczegóły, jakie posiadamy o téj cudownéj postaci, któréj się zbadaniem zajmujemy.

Cartophilus czy Józef nie pozostał jednak zawsze na Wschodzie; znajdujemy go bowiem nieco późniéj w Niemczech, pod nazwą Ahasverusa.

Doktór teologji, a który następnie został biskupem, Paweł Eitzen, opowiada: że w 1542 roku w Hamburgu, widział w jednym z kościołów, słuchającego bardzo pobożnie kazania, człowieka wysokiego wzrostu, mającego włosy siwe długie, nogi bose, a ubranego w tunikę i płaszcz bardzo starożytnego kroju. Za wspomnieniem wyrazu Jezus, padał on na ziemię, płacząc i bijąc się w piersi. Wspomniony Eitzen rozmawiał z nim wiele, i jak powiada, przekonał się, że to był rzeczywiście żyd wieczny tułacz. Wedle tego nowego świadectwa, nazywał on się Ahasverus, był szewcem w Jerozolimie, i okazał się najzapaleńszym nieprzyjacielem Chrystusa. On to umyślnie znieważył Chrystusa prowadzonego na mękę, a wtedy na wymówione słowa przez Niego: „Ja się zatrzymam i spocznę, ale ty bezustannie chodzić będziesz,” poszedł w świat. I od tego czasu błąka on się po kraju, mówiąc zawsze przez szczególne zrządzenie, językiem tych ludzi, pomiędzy którem przebywa. Co tłumaczy, jakim sposobem, przy każdem swem pojawieniu się jak np: w r. 1575 na drodze do Madrytu, w r. 1702 w Strasburgu, a w r. 1607 w Beauvais, rozmawiał zawsze innym językiem, z różnemi osobami godnemi wiary, i ówczesny historyk Palma Cayet, z całą powagą świadczy o jego istnieniu, i podaje jego historję, jako najprawdziwszą w świecie.

Rozmaite znów wieści obiegały o nim na początku XVII wieku, i jak przechód jego był naznaczony w różnych miejscach przez uragany, z tego zatem wnosi uczony Jacob, z którego studjów bierzemy największą część tych tu szczegółów, że musiało być wówczas mniemanie, że żyd wieczny tułacz nawałnicami był pędzony, i ztąd to pewno urosło owo przysłowie, dziś jeszcze w Bretanji i w Pikardji używane przez wieśniaków, którzy mówią, skoro widzą gwałtowną burzę, nagle się zrywającą: „To żyd wieczny tułacz przechodzi.”

Około téj to epoki w r. 1609, pojawiła się w Bordo broszura, pod tytułem: *Prawdziwa rozmowa z żydem wiecznym tułaczem, który utrzymuje, co jest podobnem do prawdy, że widział ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa.* Dziełko to zakończone jest śpiewką, pierwszą z zajmujących się tym przedmiotem; sprzedawało się zaś po dwa grosze niespełna, aby mogło być nawet przez najuboższych nabywane.

Ale, podczas kiedy śpiewano o tym żydzie we Francji, on przebiegał sobie spokojnie Niemcy. Oglądano go wówczas w Wiedniu, w Lubece, w Hamburgu, w Lipsku, w lesie Soignes w Belgji (1640 r.). I w téj to epoce wyszło nowe dziełko, pod takim tytułem: *Historja cudowna żyda wiecznego tułacza, który od 33 roku naszéj ery, aż do obecnéj godziny przebiega różne kraje.* Historja ta, zawierała opis jego pochodzenia, kary i jego dziwne zdarzenia, jakich doznał we wszytkich zakątkach świata. Nieznany autor, napakował massę ciekawych wydarzeń i najcudowniejszych przypadków w tę historyjkę, która późniéj wiele razy była przedrukowaną, z najrozmaitszemi zmianami. Ta to historyjka obiegała po Francji przeszło lat dwieście, i dziś nawet można ją spotkać na straganach, jakie się na odpustach wiejskich pojawiają.

Ale nietylko to sami popularni, a nieznani autorowie ludowi, zajmowali się zjawieniem żyda wiecznego tułacza. Na jakiż to bowiem, choćby najniedorzeczniejszy temat nie robili Niemcy rozpraw, dodowodzeń i naukowych zbijań? Istnienie żyda tułacza, było z całą powagą po łacinie, przez niemieckich uczonych na uniwersytetach nawet dowodzone. A dwieście lat zaledwie temu, bo w roku 1663, jeden bardzo uczony badacz niemiecki Droscher, zasmarował wiele papieru dla pokazania, że było dwóch żydów wiecznych tułaczów, to jest: że Cartophilus i Ahasverus byli dwoma zupełnie różnemi osobami! Gdyby ten ciężko uczony Niemiec był jeszcze kilkadziesiąt lat zaczekał, coby on też był wtedy powiedział, skoroby się był dowiedział, że trzeci żyd wieczny tułacz przechodził przez Bruksellę, ale tym razem pod nazwiskiem Izaaka Laquedem?

Mieliśmy sposobność widzieć, starą kolorowaną rycinę tego nowego Izaaka, która doczekała się licznych edycji, a zawsze z pewnemi zmianami. Przedstawiała ona bardzo sędziwego starca, z ogromną brodą i w ubiorze starodawnym. Na rycinie téj, była wypisana z całą drobiazgową dokładnością, chwila ostatniego zjawienia się tego żyda wiecznego tuła-

cza, co miało miejsce w roku 1774, 22 Kwietnia o godzinie szóstéj wieczorem. Do téj ryciny dołączona jest piękna w swoim rodzaju piosnka, malująca ciekawość i dobre serce Flamandczyków. Oddamy tu prozą kilka ustępów, z téj stuletniéj piosnki:

....Oni mu mówią: Dzień dobry wam ojcze. Bądźcież tak dobry i zróbcie nam tę przyjemność i pozostańcie z nami przez chwilę. Nie odmiawiajcież nam tego przecie i zwolnijcie wasze kroki—Panowie, muszę wam oświadczyć, żem jest nieszczęśliwy. Nigdy się nie zatrzymuję, ani tu, ani nigdzie indziéj. Czy piękna pogoda, czy słota, ja idę ciągle. Ale wejdźcież do téj gospody, czcigodny staruszku. Wychylemy dzbanek piwa i ruszycie sobie daléj.— Nazywam się Izaak Laquedem, urodziłem się w sławnem mieście Jeruzalem. Tak, to ja moje dzieci, ja to jestem żydem tułaczem. O, sprawiedliwy Boże, jakże ten pochód jest uciążliwym dla mnie. Piąty to już raz obiegam świat cały wokoło. Każdy z kolei umiera, a ja nieszczęsny żyję zawsze. Widziałem tak w Europie, jak i w Azji, takie bitwy i takie starcia, że one kosztowały wielu ludzi życie. A ja przechodziłem wtedy przez pola, gdzie tak śmierć grasowała, niezostawszy nawet rannym.

Przy całem ubóstwie słów téj piosnki, znajduje się w niéj jednak prawdziwa poezja. Błąd popełniony przez tego nieszczęsnego tułacza jest następnie opowiedziany z całą prostotą, pełną melancholji: „Jezus, z całą swą dobrocią, powiedział mi westchnąwszy: Ty będziesz szedł do skończenia świata przez lat tysiące. I dopiero sąd ostateczny zakończy twoje cierpienia.”

(Dokończenie nastąpi).

JAKI PAN TAKI KRAM.

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 13*)*.

2.

Godzina w pół do pierwszéj wybiła na zegarze, kiedy Benedykt w nowym tużurku, w aksamitnéj kamizelce i w ciemnych glansowanych rękawiczkach, posuwał się wąziutką ścieżką przez łąki, zmierzając wprost ku Suszynowi. Nieśmiały we wszystkiem, nie lubił hałaśliwych zajazdów bryczką, wywabiającą zwykle trajkotem na drogę wszystkie psy wiejskie, a do okien ciekawe oczy mieszkańców. Udał się więc umyślnie pieszo, a pragnąc się zabezpieczyć od wszelkiego z ludźmi spotkania, z łąki obrócił się na prawo, przeszedł przez żerdzie i między zagonami kapusty, a płotem obrośniętym lucynusem, zdążał szybko ku domowi pana Hilarego. Gdzie spojrzał, wszędzie najzupełniejsza panowała cisza, nigdzie żywéj nie dopatrzył duszy; szczęśliwy więc, że mu się fortel tak wybornie udał, podwoił kroku, i prawie już kłusem doszedł do celu swojéj wyprawy. Pod płotem okalającym ogród Hilarego, przystanął, odetchnął i otarł czoło gęstym zroszone potem. Odpiął tużurek, kamizelkę, i pragnąc choć cokolwiek ochłodzić się z nieznośnego gorąca, sprawionego upałem i krępującem go ubraniem, do którego nie był przyzwyczajony, postanowił gdzie w cieniu chwilkę odpocząć. Upatrując stosownego miejsca, dostrzegł z radością w ogrodzie na sznurze rozwieszony obrus, który brzegiem jednym do saméj dochodząc ziemi, rzucał szeroki cień na murawę pod nim rozpostartą. W minutkę potem Benedykt oparty łokciami, leżał wyciągnięty na miękkim trawniku, a obok niego tużurek i kamizelka; że zaś był to człowiek dosyć lubiący naukę, i do tego kawałek botanika, zapatrzył się w trawę i klassyfikując roślinki, oznaczając rodzaje i gatunki, tu nęcony meszkiem, tam listkiem, pełzł coraz daléj, tak że wkrótce dotarł głową do samego obrusa.

Kiedy tak botanikuje i zachwyca się robionemi postrzeżeniami, nagle z pod obrusa przeciwnéj strony, wysunęły się dwie nóżki małe, zgrabne, obute w półbuciki czarne prunelowe, otoczone przy kostce jedwabną frandzelką, za którą bielał rąbek cieniutkiéj pończoszki, który podsunąwszy się pod sam nos zaimprowizowanego badacza natury, na raz jeden zasłonił mu pole dociekań i postrzeżeń, siejąc w nim straszne zniszczenie. W pierwszéj chwili, na takie barbarzyństwo niespodziewanego zjawiska, Benedykt skrzywił się niemiłosiernie, ale w prędce pomiarkowawszy, że nóżki te tak kształtne i starannie przystrojone, muszą należyć do kobiety, a może do jakiéj ładnéj panienki, pokraśniał jak piwonja, zatrzymał oddech, i nieśmiejąc najmniejszego zrobić poruszenia, patrzył jak w tęczę w śliczniutkie figlarki, to wspinające się na paluszki, to opadające tak, że aż przymuszony był z nosem umknąć troszkę w górę.

— „Jezus Marya! szepnął w myśli Benedykt”— czyżby to żona Hilarego stała po drugiéj stronie?— Czyżby Hilary mnie oszukał, tając obecność jakiéjś panny?—Ach! gdyby mnie zobaczyła, jak barana leżącego na ziemi, bez tużurka, kamizelki, krawata.... oszaleję.... nie wytrzymam.... na samą myśl, że może nas kto w takiéj pozycji dopatrzyć.... włosy na głowie stają mi słupem......

I szepcząc tak, kto wie czyby Benedykt w końcu się nie rozpłakał, bo nóżki coraz figlarniéj podskakiwały w górę, gdy nagle usłyszał krzyk po nad sobą.... chciał spojrzyć, ale w téj chwili, obrus okrył go całego, a za nim ze śmiechem wyraźnie z młodziutkiéj wydzierającym się piersi, padła jakaś osoba, przyciskając go całym ciężarem swego ciała.

— Ach!!—naraz jeden zawołały dwa głosy, potem prawie razem podniosły się dwie postacie, z których jedna była Benedyktem, rozczochranym, rozmamanym, przerażonym aż do rozpłakania i odzianym w obrus, jak Izraelita w śmiertelną koszulę: druga młodziutka, siedemnastoletnia panienka, smukła, zgrabna, śliczniutka, godna nietylko ucałowania rączek, ale i owych nóżek figlarek, co tyle nabroiły, przed nosem niefortunnego Benedykta. Kiedy te dwie postacie spojrzały na siebie, Benedykt o mało nie zemdlał; panienka zbladła, potem Benedykt wytrzeszczył oczy, panienka krzyknęła, poskoczyła jak spłoszona łania ku domkowi, a Benedykt zamiast tużurka i kamizelki, otulając się w obrus, z gołą głową rozczochraną, popędził ku manowcom, któremi się dostał do Suszyna.

Przypadek chciał, że kiedy w ogrodzie odbywała się ta najniewinniejsza w świecie, godna jednak zazdrości scena, pan Hilary wracał do domu, od zabudowań gospodarczych, a spostrzegłszy człowieka z pośpiechem płot przesadzającego i uciekającego z własnym jego obrusem, ruszył za nim, dopędził, chwycił za ramię i groźnie po nad głową wywinął laską. Benedykt ze strachu aż przykucnął i ryknął, głosem zwierza śmiertelnie ranionego. Hilary laskę wzniósł w górę, i kiedy miał dać uczuć całą jéj twardość, nagle cofnął się poznając nieszczęśliwego Benedykta.

— „Co to jest?”—zapytał Hilary— „Benedykt?— a ty co tu robisz?”

— „Tak to ja”—drżącym głosem odrzekł klęczący Benedykt — „przebacz mój Hilarciu...... Bóg świadkiem żem niewinny.”

— „Ale co tu robisz z tym obrusem?”

— „Z obrusem?— z największem zadziwieniem powtórzył Benedykt— „prawda, a ja myślałem że to tużurek i kamizelka.”

— „Tużurek i kamizelka?— co to jest: nic nie rozumiem.”

Hilary spojrzał badawczo na przyjaciela, pragnąc dociec, czy z warjatem, czy z pijanym ma do czynienia, a Benedykt podnosząc się z kolan odrzekł już troszkę oprzytomniony:

— „I ja nic nie rozumiem. Tam w cieniu pod tym obrusem, chciałem troszkę wypocząć.... rozważając różne roślinki, pokazały mi się przed samym nosem dwie nóżki.... i przy tych słowach Benedykt pokraśniał jak wiśnia: potem, przykrył mnie obrus.... potem, zobaczyłem jakąś panienkę.... Benedykt opuścił skromnie oczy ku ziemi:—potem, zacząłem uciekać pewny będąc, że rzeczy moje trzymam w ręku.... a potem.... już wiesz daléj....”



.....Prawie razem podniosły się dwie postacie,—(str. 107, szp. 2).
(Rysował Gerson— wyciął na drzewie Zabłocki).

— „To pewno była Zosia, siostra najmłodsza mojéj żony” — odrzekł śmiejąc się Hilary— „co przed chwilą przyjechała do nas. Obrus wywieszony dla przewietrzenia, chciała zdjąć ze sznura, ten oberwał się, i ot cała tajemnica twego przestrachu. Chodźże więc, chodź, musisz dzieweczkę przeprosić i ona ciebie, choć dalipan, nie rozgniewałbym się gdybym był w twojem miejscu.”

— „Ja? — mam iść? z przerażeniem zapytał Benedykt—„bój się Boga miéj litość nademną...”

Hilary nie słuchając dalszych uwag, wziął Benedykta pod rękę, prawie gwałtem ubrał w pozostawione na murawie rzeczy i zaprowadził struchlałego przyjaciela do domu.

(d. c. n.)

KRZYSZTOF KLUK.

(WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY ODBYTÉJ PO KRAJU).

Nad rzeką Nurcem, przy saméj granicy powiatu Łomżyńskiego, w gubernji Grodzieńskiéj, leży prywatne miasteczko Ciechanowiec. W okolicy téj mieszkali i dotąd jeszcze mieszkają drobni właściciele rolni, zwani zagonową szlachtą, a tu i owdzie pośród nich znajduje się większy majątek, którego właściciel uchodzi za magnata w mniemaniu swoich biednych sąsiadów. O Ciechanowcu nie wiele powiedzieć można. Rzeczka Nurzec przedziela je na dwie części. Jedna, na prawym brzegu zbudowana, czyli Nowe miasto, należy do powiatu Łomżyńskiego, w gubernji Augustowskiéj; druga na lewym, do powiatu Bielskiego w gubernji Grodzieńskiéj i zowie się Starem miastem. W téj to części jest kościoł, przed którym stoi pomnik poświęcony pamiątce Krzysztofa Kluka, sławnego naturalisty naszego. Z resztą, Ciechanowiec wygląda jak każde nasze małe miasteczko. Na 1,300 mieszkańców, jest 900 żydów i pięćdziesiąt osad rolniczych. Posiada kilkanaście kramów, kilkunastu rzemieślników i dwa lub trzy młyny. Miasteczko ciche, bezczynne przez cały tydzień, biedzi się trochę i ożywia w dni świąteczne i targowe, a pełne jest wrzawy i ruchu, kilka razy do roku, podczas jarmarków i odpustów.

W owym tedy spokojnym i ubogim Ciechanowcu był przed laty proboszczem ksiądz Krzysztof Kluk, nasz znakomity naturalista, autor książek o zwierzętach, roślinach i o rzeczach kopalnych. Jego dzieła są bardzo pożyteczne i ciekawe; za moich lat młodych uczono z nich historyi naturalnéj. Kluk opisywał porządnie, jasno i zwięźle wszystkie istoty żyjące i nieżyjące, które Bóg stworzył wszechmocną wolą i słowem swojem. Ogromna to była praca; ale czegóż nie dokaże człowiek, kiedy się jaką nauką albo przedsięwzięciem zajmie gorliwie i wytrwale? Przez długie lata, ksiądz Krzysztof Kluk pracował nad historyą naturalną, lecz przytem nie zaniedbywał obowiązków powołania swojego; był przykładnym kapłanem, nabożeństwo odprawiał regularnie, nauczał lud z ambony w kościele, odwiedzał chorych, pomagał biednym. Posiadał więc powszechne poważanie, szacunek i miłość parafianów swoich, okolicznéj szlachty drobnéj i bogatszych panów. Probostwo Ciechanowieckie nie przynosiło wielkich intrat: ofiarowano księdzu Klukowi inne bogatsze, lecz on wolał przy tem pozostać, bo Ciechanowiec był jego miastem ojczystem, kochał więc jego mieszkańców jak swoją rodzinę. Miał serce szlachetne i dobroczynne, a jakim sposobem pomimo braku funduszów świadczył wielkie dobrodziejstwa, zobaczycie to w dalszym ciągu tego opowiadania [1]).

W roku 1826 pojechałem z Warszawy przez Siedlce, do Białegostoku. Było to w pierwszych dniach Lipca. Wiecie, że nasz kraj rolniczy najpiękniejszą wtedy postać przybiera. Pola okryte zbożem, kołyszącem się jak fale morza, zieloność panująca w ogrodach i lasach, siano tylko co skoszone, przyjemną woń rozpościerające, trzody owiec i bydła odżywione na letnich pastwiskach, miły czynią widok. Lud wiejski rozweselony hojnym plonem bożym, ochoczo bierze się do siano-kosu, a potem do żniwa.

[1]) Ksiądz Krzysztof Kluk urodził się w Ciechanowcu 13 Września 1739, umarł tamże 12 Lipca 1796.

Nędza przednówkowa nie trapiła w owym czasie najuboższych wieśniaków, wszystko więc tchnęło swobodą i radością. Droga moja szła na miasteczka Sterdyń i Nur, przy którem to mieście miałem przeprawić się przez rzekę Bug, a potem na Ciechanowiec zdążać do Białegostoku. Przypomniałem sobie czcigodnego księdza Krzysztofa Kluka, i bardzom się ucieszył, że będę mógł zobaczyć miejsce pamiętne jego urodzeniem i długoletnim pobytem. Dopiero lat trzydzieści upłynęło wówczas od śmierci księdza Kluka; spodziewałem się więc, że jeszcze znajdę ludzi, którzy go znali, i usłyszę od nich wiadomość o jego trybie życia, charakterze i cichych cnotach. Przypadek posłużył mi nad spodziewanie i sprawdził przysłowie: „Niema tego złego coby na dobre nie wyszło.” Jechałem własną furmanką: bo na bocznych drogach nie było ani koni pocztowych ani furmanów do najęcia; zatrzymałem się z godzinę w Nurze i zwiedziwszy tę mieścinę niegdyś stołeczną ziemi, od niego Nurską zwanéj, wyruszyłem do Ciechanowca około godziny siódméj wieczorem, pewny będąc, że półtory mili które mię od tego miasteczka oddzielają, najpóźniéj w dwie godziny przejadę, a więc przed zachodem słońca stanę na nocleg. Na pół drogi między Nurem a Ciechanowcem, na otwartem polu złamała się oś u bryczki i niepodobna było jechać daléj. Ja i mój służący spojrzeliśmy w około, niebyło nigdzie ani kawałka drzewa, z którego by można ułamać gałąź, podłożyć pod nasad i powoli dowlec się do miasteczka. Gęste miedze przecinały pole: co wskazywało, że jestem na gruncie cząstkowéj wsi szlacheckiéj. W dalekości na prawo, o kilkanaście stajów widać było chaty wiejskie, a między niemi odbijała się ciemno zielona kępa drzew, podobna do gaju albo do obszernego sadu.

— Niema co robić mój Józefie, rzekłem do służącego, zostań przy bryczce i koniach, ja pójdę do wioski i poproszę o pomoc.

Wziąłem więc laskę dla opędzenia się od psów i ruszyłem miedzą graniczną prosto ku wiosce. Idąc postrzegłem, że rola po lewéj stronie miedzy jest przynajmniéj trzy razy szersza od tych, które ciągnęły się po prawéj, musi więc należyć do zamożniejszego szlachcica. Dobrze mię Bóg prowadzi: pomyślałem sobie: łatwiéj dostanę pomoc i mieć będę wygodniejszą gościnę; zmiarkowałem bowiem że już tego dnia nie przejadę przez komorę graniczną, i do Ciechanowca nie zdążę.

Nie całe trzy kwadranse upłynęło, gdym nareszcie doszedł do tego ogrodu, a raczéj sadu, który był zwrócił moją uwagę. Otoczony był porządnym rowem a na wale usypanym z wydobytéj ziemi, płot z cierni i głogu nie dopuszczał przystępu szkodnikom i bydłu. Scieszka idąca nad rowem, zaprowadziła mnie na podwórze gospodarskie. Zobaczyłem porządną stodołę o jednem klepisku, dwa brogi ze spuszczonemi daszkami, szopę, stajnie i chlewy; wszystko nie nowe ale dobrze utrzymane; szlachecki dworek słomą także pokryty, ale z oknami o sporych szybach i z okienicami.

Psy zerwały się do mnie i zaczęły ujadać; stanąłem przy ścianie stodoły z podniesioną laską, gotowy do obrony, gdy w tym szlachcic już w podeszłym wieku wyszedł od szopy, odwołał psów i zbliżył się do mnie. Uchyliłem czapki i zacząłem rozmowę od zwyczajnego chrześcijańskiego powitania.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków, Amen, odpowiedział ów szlachcic.

— Zapewne witam Wielmożnego dziedzica téj wioski, rzekłem.

— Nie wielemożnego Mości Dobrodzieju, ani też dziedzica wioski, odpowiedział, — jestem szlachcic cząstkowy, posiadacz téj oto części na Tymianie, a to jest moja chata, do któréj proszę.

Wszedłem do domu. Po prawéj stronie od sieni była obszerna izba, a w niéj stół jesionowy, mocne stołki w kształcie krzeseł z tego samego drzewa, dwie szafy, zwierciadełko w czarnych ramach na ścianie między drzwiami a piecem, zawieszony prosty zegar, i jakiś obrazek w około otoczony wieńcem z kwiatów. Oto były wszystkie sprzęty w téj ubogiéj ale czystéj komnacie; wskazywały one rządność i niezgorszy byt właściciela.

(d. c. n.)



Krzysztof Kluk.—(str. 108, szp. 2).
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Walter).

DOMY DLA RZEMIEŚLNIKÓW.

Po chlebie i koszuli, najważniejszem jest mieszkanie. Mieszkanie, te cztery nagie mury, to nieraz cały świat dla człowieka. Nie dziwmy się serdecznemu przywiązaniu wieśniaka, do jego dymnéj lepianki. Tam się urodził, tam żył, cierpiał i tam mu zamkną powieki, nim siwe woły wywiozą na mogiłki. My mieszczuchy, mniéj się przywiązujemy do domu, do izby. Jesteśmy nieco jak ptaki płochliwe, zwiedzające różne strony. Ale przecież, gdzie osiądziem na czas dłuższy, to sobie to gniazdo wysoko cenim. Dom albo mieszkanie nasze, to schronienie przed troską, to świątynia pokoju, gdzie składamy nasze bóle na łonie rodziny. A jeżeli jest on warsztatem pracy, to staje się jeszcze droższym, jeszcze milszym.

Ale dla większéj części ubogich mieszkańców naszego miasta, mieszkanie nie jest cichem—spokojnem gniazdem, nie jest miejscem wypoczynku — ale raczéj zródłem przykrości, niewygód, że nieledwie powiemy: choroby i śmierci!... Czy przesadzamy? Łatwa

bardzo odpowiedź. Wnijdźcie w siedliska zamieszkane przez ludność rzemieślniczą i wyrobniczą, przypatrzcie się, jak ona mieszka! Może się wdrapiecie na trzecie lub czwarte piętro Starego Miasta albo Piwnéj ulicy? I owszem, możemy wam być przewodnikami, tylko ostróżnie, bo tu każdy krok po zgniłych i cuchnących schodach, narazić może na niebezpieczeństwo. Nareszcie dostaliśmy się do tych ptasich klatek. Zdawałoby się, iż tu wilgoci obawiać się nie należy. Gdzie tam! Panuje ona już bezkarnie od tylu wieków, i tak przesiąkła mury, że łamiąc wszelkie prawa fizyczne, wdarła się aż na czawarte piętro. Izdebka maleńka, oświetlona w głąb' dymnika wpuszczonem okienkiem. O promieniach słońca z pogodnego nieba daremno tu myśleć; okoliczne dachy spiczaste i kominy wysokie, zasłaniają i kradną każdy całus ożywczego słońca. Okno to nie otwiera się nigdy... gdyż powietrze z podwórza, które jak szyb kopalniany czerni się w głębi, zaraziłoby i tak nieujmującą atmosferę mieszkańca. — W zimie jedyny piec odwieczny, popękany, dymiący, nie daje żadnego ciepła—w lecie rozgrzane dachy, czynią z téj ciupy prawdziwą łaźnię. Na przestrzeni 30 stóp kwadratowych tego kurnika, mieści się pięć familji rzemieślniczych. Trzeba to widzieć własnemi oczami, ażeby pojąć, jak się tam te łóżka i nędzne mebelki pomieszczą. — A często jeszcze parawany lub muszlinkowe firanki, rozdzielają ten pokój na kilka salonów! Jeżeli pojedziecie ze mną na Tamkę lub ulicę Furmańską, to podobne mieszkania znajdziem od suteryn do poddaszy, prawda nie tak wysokich, ale jeszcze brudniejszych, wilgotniejszych i więcéj zgrozą przejmujących.

Niepotrzeba być, ani lekarzem zwolennikiem hygieny, ani nareszcie moralistą z professji, aby ocenić ile niedogodności, nieporządku, niezdrowia zrządza podobny tryb mieszkania, tak powszechny w klassie rzemieślniczéj u nas. Lecz, czyż ona może inaczéj mieszkać? Ta nędzna izdebka, to gniazdo dla niedoperzy, ale nie mieszkanie dla ludzi, kosztuje miesięcznie 4 do 5 rubli! Gdzież rzemieślnikowi zarabiającemu kilka złotych dziennie, na opędzenie utrzymania rodziny ponosić koszt tak znaczny. Zaledwie kilka rodzin składając się może to uczynić.

Na dobitkę, ceny najmu rosną jak na drożdżach. Od lat kilku niezawodnie podwoiły się, a wiadomo iż łatwiéj tego dokonać na lokalach mniejszych i małych, niż na większych. Nie wchodzimy w przyczyny, dlaczego tak jest — długa to bowiem i zawiła kwestja — dość, że tak jest, a tak jest źle, bo klassa uboga przeciążona komornem, a za to wysokie komorne ma jak najgorsze mieszkania.

Taki stan jaki odmalowaliśmy u nas, miał miejsce poprzednio, a poczęści ma jeszcze miejsce i w innych stolicach. Po dziennikach mianowicie angielskich i francuzkich, nie brak opisów nędzy mieszkań robotników Londyńskich i Paryzkich. Ale tam obok złego przedsiębrane są silne środki zaradcze, i tylko ogrom złego nie pozwala w dzisiejszym stanie społecznym wszystkiemu zapobiedz.

Jednym z najsilniejszych środków oddziaływających najskuteczniéj na właścicieli domów prywatnych, najmujących swe mieszkania robotnikom, jest *budowa* domów prywatnych dla klas niezamożnych. Proszę tylko nie sądzić, aby domy takie budowane były w celu dobroczynnym przez osoby bogate. Wcale nie. Są to przedsięwzięcia spekulacyjne, tak dobrze, jak i inne—ale oparte na spekulacji sumiennéj, godziwéj, ze szlachetną myślą w sposób praktyczny połączonéj. Myśl wznoszenia domów specjalnych dla rzemieślników powzięto w 1847 r. w Londynie, gdzie Towarzystwo przyjaciół rzemieślnika, urządziło pierwsze domy przy ulicy King-street, Charles-Street i Drury-Lone, to jest: w miejscowościach, gdzie ludność robotnicza się skupia. Ponieważ w Londynie ziemia droga, wzniesiono więc gmachy obszerne o licznych mieszkaniach, czyli sposobem koszarowym. W każdym takim domu, mieściły się małe, ciepłe, widne i zdrowe mieszkanka dla rodzin. Wspólna kuchnia pozwalała każdemu gotować sobie posiłek. Kawalerowie lub niezamężne miały wspólne sale na mieszkanie, tak do spania jak i do spoczynku po pracy, nawet wspólne jadalnie.— Niepotrzebujemy zdaje się dodawać, iż zapłata uiszczona zgóry tak była obliczoną, że pokrywając koszta, przynosiła od nich przyzwoity zysk. A przecież nie przeciążała w niczem mieszkańców, i w porównaniu z komornem zwykłych właścicieli domów, była dobrodziejstwem. — Domy takie z rozmaitemi zmianami i ulepszeniami powstawały coraz liczniéj w Londynie i po innych miastach Anglji, a nawet i stałego lądu Europy.

Lecz znaleźli się ludzie, którzy, przy innych prawda warunkach, inaczéj jeszcze kwestją tanich mieszkań dla rzemieślników rozwiązali. — We Francyi w Alzacji, a zatem blizko granic niemieckich, leży niewielkie miasteczko zwane Mulhouse, zapełnione fabrykami bawełnianych wyrobów, tudzież papierniami, w których mnóstwo rzemieślników znajduje zatrudnienie. Otóż ci ostatni, aż do 1853 r. znosić musieli wszelkiego rodzaju niedogodności z powodu mieszkań. I znosiliby je i do dziś dnia, gdyby nie to, iż szczęściem posiadali pryncypałów zacnych i rozumnych. Ci więc ostatni utworzyli wspólkę do budowy domów dla rzemieślników, któréj Rząd francuzki przyszedł w pomoc. Lecz spółka odmienną jak dotychczasowe poszła drogą. Zamiast wznosić wielkie gmachy, gdzieby tysiące lokatorów mniéj więcéj swarne życie wiodło, spółka zakupiła hurtem, obszerne place na przedmieściach; wykreśliła na nich rynek, podzieliła na ulice, i zaczęła naraz wznosić kilkaset domków z ogródkami. Każdy domek, według planu budowniczego Malera, rozpada się na 4 części, na podobieństwo naszych czworaków. Każda część stanowi osobną całość, ma osobny wchód i składa się z 2-ch pokoików z kuchenką. Przed domem maleńki ogródek na warzywo i kwiaty, uprawiany w wolnych chwilach przez robotników.—Każde mieszkanie zajmuje jedna familja, opłacając miesięcznie 30 złp. co, jeżeli zważymy na mniejszą wartość pieniędzy we Francji, jest bardzo tanio. Lecz co więcéj, każdy z tych lokatorów może się stać właścicielem swego domku; kompanja bowiem oznaczyła 3600 franków (6000 złp.) za domek, którą to sumę spłacić można sposobem amortyzacyjnym. Na początku wymagają tylko wkupu 300—400 franków, o którą to sumę nie trudno porządnemu rzemieślnikowi, późniéj zaś, płaci się miesięcznie pewna kwota—tak, iż w ciągu lat kilku, spłaca się wartość domu, i zostaje się jego właścicielem. — Tym sposobem spółka z niewielkiemi nawet kapitałami jest w możności budowania coraz nowych domów; gdyż pieniądze pobrane za stare na ten cel obraca. To też od 1853 do 1862 r. wzniesiono 450 domów...i budowa ciągle idzie daléj. Na czterech rogach rynku wznoszą się: kaplica, ochronka, szkoła, łaźnia, pralnia, restauracja, a w domu składy obuwia, mebli, bielizny, aby wszystko mieszkańcy mieli pod ręką. Tak powstał *gród rzemieślniczy.*

Lecz zgrzeszylibyśmy i bardzo, nie wspominając o usiłowaniach, jakie w Warszawie przedsiębrane były w tym kierunku. Owszem wszystko cośmy dotychczas powiedzieli miało na celu te usiłowania, objaśniało bowiem sposoby, jakiemi za granicą postępowano; tym więc sposobem mamy możność ocenienia tego co zrobiono, i jak zrobiono u nas. Wiemy więc już, iż dwojaki przedstawiał się systemat: domów wielkich koszarowych, i domków małych a licznych, osobną dzielnicę (cité ouvriers) tworzących. Spółka, która się u nas w tym celu w r. 1862 zawiązała, wybrała rodzaj pierwszy, to jest: budowę domów koszarowych, dla tego zapewne, iż u nas obszerniejsze plany, szczere myśli, chociażby złote obiecywały owoce, zawsze ustąpić muszą ciaśniejszym, mniéj żywotnym. Warszawa, może jedyne z większych miast posiada jeszcze warunki odpowiednie do założenia dzielnic robotniczych, na tych zasadach jak w Mulhouse. W stronie rogatek Czerniakowskich, między Belwederskiemi a Jerozolimskiemi, między Wolskiemi a Powązkowskiemi, istnieje jeszcze mnóstwo pustych placów i obszernych ogrodów, które można zakupić razem, aby urządzić na nich place i ulice nowego miasta rzemieślniczego. Grunt taki przyjdzie nawet darmo, gdyż część jego późniéj korzystnie odprzedaną być może. Bank Polski, kupując grunt pod swój skład przy ulicy Marszałkowskiéj, zapłacił za łokieć po 50 groszy, gdy dziś pozostałe place odprzedaje po 4 rs. za takiż łokieć. Operacja taka, jak w Mulhouse ma tę korzyść jeszcze, iż ciągle powiększa miasto nowemi budowlami, a czerpie na to kapitały z oszczędności klassy rzemieślniczéj, któreby może na zasilenie propinacyi lub browarów bawarskiego piwa poszły. Lecz zarzuci może kto, iż klassa naszych rzemieślników i robotników niedojrzała jeszcze; odpowiemy więc, iż między ogółem znajdują się zapewne ludzie uczciwi, pracowici, oszczędni, i ci wskażą drogę innym, stając się przykładem. Trzeba tylko im samym ułatwić drogę, trzeba ich zachęcić nadzieją nabycia domku na własność.

Lecz wróćmy do domów. Spółka zawiązana z kilkunastu osób, ożywiona filantropijnemi uczuciami, położyła sobie za zasadę, iż pobierać ma od swych kapitałów 8%. Robiono z tego powodu niejakie uwagi po gazetach, więc spółka spuściła o 1% jako norma przy obliczaniu najmu mieszkań. Szybko się wzięto do budowy, i w ciągu roku wzniesiono dwa wielkie gmachy. Jeden, przy rogu ulicy Czerniakowskiéj, przedstawiony na naszym rysunku i drugi przy ulicy Pańskiéj. Gmach pierwszy, pięknéj jak widzimy budowy, mieści sklep narożny obszerny i 3 sklepy mniejsze, salę ochrony z dwoma pokojami i kuchnią, salę dla żłobka z pokojem i ogródkiem, obszerną salę z pokojem, która służyć ma w przyszłości na resursę rzemieślniczą. Jedno mieszkanie złożone z dwóch pokoi, przedpokoju i kuchni. 19 mieszkań dwupokojowych, 49 jednopokojowych. Przy tym domu od ulicy Rozbrat wznoszą się dwa domki z ogródkami, na sposób jak w Mulhouse, mające być urządzone, to jest dla odprzedaży lokatorom. Dom przy ulicy Pańskiéj 4 piętrowy, zawiera sklep z pokojem, salę ochrony i żłobka, 6 mieszkań dwu i trzypokojowych z kuchniami; 37 jednopokojowych. Pokoje te ogrzewane są piecem kuchniowym nowego pomysłu do węgla, a mieszkania tak rozłożone, iż na wypadek ognia mieszkańcy mogą się łatwo ratować kilkoma schodami. Pranie, w osobnéj pralni. Cena najmu tak ułatwiona, iż rodzina za 12 do 15 złp. miesięcznie na 3-cim lub 16—22 na 2-gim piętrze ma jeden widny, zdrowy pokój; kawaler zaś za 7—10 złp. pokoik.

Jak domy te prosperują, trudno nam w téj chwili powiedzieć, gdyż spółka zachowuje milczenie w tym względzie. Że jednak potrzeba domów dla rzemieślników nieustała w naszem mieście, dowodem tego nowo-wzniesiony, przez pp. Temler i Szwede, dla robotników zakładów garbarskich, własnością tych przedsiębierców będących. Wspomnieliśmy już pod Rozmaitościami o tem przedsięwzięciu, a zapewne jeszcze do niego powrócim.

Szybkie wysuszanie murów.

Bardzo często zdarza się majstrom murarskim potrzeba osuszenia murów nowych, w sposób szybki i bezpieczny. W tym celu, jeden z techników, wskazuje w politechnicznym dzienniku Foerstera: spalić w każdym pokoju dwa do trzech razy, po 6 do 10 funtów węgla drzewnego i zamknąć ile można szczelnie drzwi, okna i wszelkie otwory. Węgiel przy spaleniu, wydaje z siebie dym, który pochłaniany jest przez świeże wapno. Po jednodniowym przeciągu czasu, otwiera się pokój, zanim jednak kto wejdzie, należy go silnie przewietrzyć, urządzając przewiew powietrza.

ROZMAITOŚCI.

— Często nam się daje słyszeć lub czytać w gazetach, o wypadkach nieszczęśliwych, którym zapobiedz możnaby było, gdyby miano środki zabezpieczenia życia robotników, od gwałtownego działania dymu i gazów, czy to w kopalniach czy piwnicach lub innych miejscach. Zdarza się często, iż tam potrzeba uskuteczniać jakąś robotę bardzo ważną i konieczną, a przecież można ustrzedz się od nieszczęścia i życia nie utracić. To właśnie uskutecznia się zapomocą apparatu świeżo wynalezionego przez p. Galiberta. Opis szczegółowy musimy pominąć, gdyż nie dałby się określić bez pomocy rysunku. Dość nam będzie wiedzieć, że poddawano go próbom i znaleziono tak odpowiednim, że fabrykanci prywatni nabywają go do zastosowania. Dobrze więc by było, aby i nasi przedsiębiercy, nie ważąc lekko zdrowia i życia robotników, pośpieszyli z nabyciem tego przyrządu, co można uskutecznić u pana Galiberta w Paryżu, przy bulwarze Sewastopolskim, rive droite 73. — Cena tylko dość wysoka, sto franków.

— Wiele osób mniema, że nalewając płyn jaki gorący np. herbatę w szklankę, należy napełniać ją częściami, aby tym sposobem, zwolna części szkła stanowiące szklankę ogrzewały się; co jest fałszywem, albowiem sposób jest ten najłatwiejszy i najpewniejszy do jéj pęknięcia; należy przeciwnie napełnić całą szklankę jak najprędzéj płynem gorącym, lub poprzednio trzymać ją do góry przez czas jakiś nad parą. Doświadczenie pewne i oparte na wieloletniem doświadczeniu, tłumaczymy następującym sposobem: Jeżeli napełniamy zwolna, płynem gorącym szklankę, natenczas szkło nie równie się ogrzewa; części jéj niektóre rozszerzone przez ciepło, odrywają się czyli pękają, odstając od innych; przeciwnie kiedy ją napełniamy szybko, pośpiesznie, lub ją trzymamy czas jakiś nad parą, wszystkie części szkła stanowiące szklankę, jako jednostajnie i w jednéj chwili ogrzane, a zatem i rozszerzone, nie oddziaływają już więcéj jedne na drugie, aby się mogły oderwać i szklanka pozostaje nienaruszoną.

— Z górskich okolic Galicji, dochodzą wieści, o szerzącym się tam głodzie i o silnych tyfusach. Mokry rok przeszły bokiem wyłazić zaczyna. Na Podhalu i w ogóle, na stokach Karpackich sieją zazwyczaj owies, a sadzą wyłącznie kartofle. Burze i powodzie poniszczyły w wielu miejscowo-

ściach zasiewy, a z ciągłéj wilgoci, padła zaraza na kartofle; a góral, gdy kartofli w zimie nie ma,— głód cierpi. Do tego podatki porządne, co się zowie, trapią ich nie lada. Źle dziś, a co to będzie późniéj na przednówku?

— Przykro to bardzo być zeszpeconym przez ospę; a jednak jakże trudno uniknąć jéj szpetności. W obecnych czasach we Francji, gdzie ospa silnie grasuje, podają następny zabezpieczający środek. Jak ospa na twarz wystąpi, należy wziąść utłuczonéj na proszek kredy, zmięszać ją z czystą niczem nie zaprawianą śmietanką, zrobić z tego lekką papkę, i tą papką piórkiem posmarować twarz; skoro papka ta na twarzy wyschnie, zaraz smarować drugi raz i tak ciągle, póki krostki ospowe nie zginą. Kiedy zaś ospa panuje w jakiéj okolicy, należy pić wodę, w któréj przez 48 godzin leżała smoła. Taką wodę smolną, można pić za napój, albo też, co lepsza, wypić dwie szklanki naczczo, na dwie godziny przed śniadaniem i znowu dwie szklanki wieczorem, co dwie godziny po wieczerzy.

— Niejednokrotnie słyszeć się dają rady, że na ból zębów bardzo dobrze jest żuć tabakę. Czy to jest w istocie pomocnem — rozbierać tu nie pora. Nie zawadzi jednak przytoczyć zdarzenie z tabaką, zaszłe niedawno w Brukseli. W jednym teatrze, w czasie przedstawienia, mężczyzna pewien siedzący w krzesłach — omdlał. Wyniesiono go natychmiast, zaczęto cucić, ale daremnie, z omdlenia wyjść nie mógł. Zawezwano natychmiast lekarza; ten oświadczył, iż ów jegomość zażyć musiał truciznę; dał mu więc jakieś antydotum, nastąpiły wymioty, a w wymiotach znaleziono tabakę. Skoro omdlały przyszedł do zmysłów, pytany, oświadczył, iż cierpiąc gwałtowny ból zębów, użył tabaki i takową przez nieostróżność połknął; zaraz poczuł mdłości, osłabienie i zemdlał. Zamieszczamy ten fakt, jako ostrzeżenie, aby, jeżli kto zechce się już leczyć tabaką, niechże przynajmniéj strzeże się jéj połykania. Zła to bowiem byłaby rachuba, dla bólu zębów, utracić życie lub nabawić się niebezpiecznéj choroby.

— W powiecie Włocławskim znajduje się wieśniak umiejący czytać, pisać i rachować. Podjął się uczyć dzieci wiejskie czytać i wynalazł do tego nowy zupełnie sposób, przezywając każdą głoskę abecadła po swojemu. I tak *a*, zowie się u niego *uchem od garnka*, *b*, to *siekiera*, *c*, to znowu *rogal* i t. d.



Dom dla rzemieślników przy ulicy Czerniakowskiéj w Warszawie.— (str. 111, szp. 1).— (Wycięto w drzeworytni Tygodnika Illustrowanego).

— W r. 1864 zmarło kilka osób żyjących lat 100 z dobrym okładem; i tak: w Kolbuszynach w okręgu Krakowskim, Aniela z hr. Dębińskich *Rucka* lat 102; w Brześciu Litewskim, Mojżesz *Monastyrski* w wieku lat 107; na Żuławach Gdańskich żona posiadacza własności ziemskiéj *Krygerowa* w wieku lat 109 $^1/_2$ i w Warszawie Dorota *Falecka* lat 107 licząca.

Myśli i Zdania.

— Mówią, że zapaśnik Milon nauczył się powoli, dźwigając codziennie podrastające cielę, nosić na grzbiecie nareszcie woły.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 24 Marca (5 Kwietnia) 1865 r.